

NASZA MAŁA ESTABLISZMENTYZACJA

—
ADAM POPRAWA

Widmo krąży po Europie – po Europie też, a po Polsce zwłaszcza – widmo młodej poezji zaangażowanej.

W swojej krótkiej historii na początku lat 90. „Tygodnik Literacki” zaproponował nowy gatunek literaturoznawczy, mianowicie „najkrótszą recenzję”. O ile pamiętam, pojawiła się tylko jedna taka praca, za to świetna. Niewielka ramka, w niej tytuł, wydawać się mogło, nowego działu *Najkrótsza recenzja*, reprodukcja okładki książki Bronisława Wildsteina (jak się po latach miało okazać, pisarza zaangażowanego par excellence) pod tytułem *Jak woda*, wreszcie sam tekst krytycznoliteracki. Cytuję w całości: „No właśnie”.

Wydana parę miesięcy temu antologia poetycka została zaś zatytułowana *Zebrano się śliny*. Nim napiszę parę zdań na jej temat, rad bym na chwilę wrócić do Stanisława Barańczaka, znakomitego przecież antologisty, którego tomy mocno zaistniały w literaturze polskiej. Gdyby zatem nie *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*, Krzysztof Mrowcewicz nie wydałby pewnie zbioru zatytułowanego *Wysoki umysł w dolnych rzeczach zawikłany. Antologia polskiej poezji metafizycznej epoki baroku*. Gdyby nie pojawiła się *Fioletowa krowa*, mniej by mówiono o twórczości purnonsensowej. Niekiedy Barańczak samą strukturą tomu podkreślał grę literacką, jak w wypadku antologii poezji miłosnej. Kiedy indziej, w *Fioletowej krowie*, niepozbawione walorów poznawczych wprowadzenie okazywało się również komicznym tekstem napisanym właśnie w poetyce purnonsensowej. Zazwyczaj antologijne książki Barańczaka poprzedzane były solidnym wstępem, w którym wyjaśniał autor swoje rozumienie tytułowych terminów, wykladał własne założenia i omawiał pokrótce podobne antologie

opracowane przez innych. Owszem, w zbiorze *Od Chaucera do Larkina* znalazła się nawet maksymalistyczna deklaracja. Otóż praca antologisty warta była ryzyka, „jeśli ostatecznym rezultatem może być książka, która – przy wszelkich swoich wadach i niedociągnięciach, zawinionych przez autora pomimo jego starań – dowiedzie, że coś takiego jak obiektywna wartość w świecie literatury jednak istnieje”.

Pawła Kaczmarskiego i Martę Koronkiewicz, redaktorów zbioru *Zebrano się śliny*, ten cytat może nawet wpędzić w traumę; trudno, życie literackie bywa niełatwe. Czytanie również.

Barańczak zatem porządkował i klarownie przedstawiał rozmaite zjawiska z historii i współczesności literackiej. Ba! Nawet przygotowując zbiór *Poeta pamięta. Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu 1944–1984*, książkę przecież pozaliteracko nieobojętną, skupiał się na stosowanych terminach i doborze poetów, nie zastanawiał się natomiast nad oddziaływaniem tego tomu. Napisał zaś między innymi o kłopotach z podtytułem: „Wszystko byłoby prostsze, gdyby metaforyczną formułę «poezja jako pamięć epoki» dało się przełożyć bez utraty jej treści na tę czy inną kategorię używaną powszechnie przez krytyków i czytelników. Gdyby można ją utożsamić na przykład z pojęciem «poezji politycznej». Albo – tfu, język się wzdraga – – «poezji zaangażowanej» [...] odpada wyrażenie «poezja zaangażowana», obarczone w polskim życiu literackim na tyle złymi tradycjami, że doprawdy nie bez powodu prowokujące natrętne pytanie «zaangażowana» – – przez kogo?”.

Zgoda, znaczenie terminów zmienia się, także w sytuacjach, gdy termin pierwotnie użyty w funkcji negatywnej zaczyna funkcjonować jako określenie neutralne. Tak było z metafizykami, turpistami, może nawet z przyszczatymi. Ale żeby aż tak świecić w oczy zaangażowaniem? Powiadają bowiem Kaczmarski i Koronkiewicz we wstępie, że chcieli „zdać sprawę z tego, co wydaje nam się jednym z najistotniejszych zjawisk związanych z nową polską poezją (którą rozumiemy tu jako twórczość młodych poetów: autorów i autorek wchodzących dopiero na scenę poetycką, debiutujących stosunkowo niedawno). Tym zjawiskiem jest stopniowe – coraz wyraźniejsze, coraz ciekawsze, coraz bardziej świadome – wprowadzanie do wiersza elementów społeczno-politycznych komentarzy i refleksji; coraz mocniejsze ciśnienie nowej poezji ku kategorii politycznego zaangażowania. Proces, o którym myślimy, a który nazwać można chyba zwyczajnie rosnącą popularnością wierszy zaangażowanych wśród młodych twórców i twórczyń [...]”.

Nie wiem, czy to „chyba zwyczajne nazwanie” jest rzeczywiście zwykłym dla antologistów użyciem języka, czy też czytać należy to jako kryptopolemikę z historią literatury, w tym z Barańczakiem i wcale powszechnie przyjętymi znaczeniami terminów. Choć wydawać by się mogło, że akurat dzieje literatury raczej nie niepokoją antologistów. Zwracają tu uwagę jeszcze co najmniej dwie kwestie. Jasne, hasło „nowa” literatura często oznacza teksty autorów młodych i najmłodszych, ale „nowa” nie jest bynajmniej synonimem „młodej”. Gdy mówię o „nowej” polskiej poezji, myślę zatem i o debiutantach, i o ostatnio wydanych książkach autorów starszych. Nie tyle upominam się tu o precyzję przymiotników, ile wskazuję na kryjący się pod „nowością” w ujęciu antologistów zdecydowany gest wykluczenia – nie tylko starszych, również tego wszystkiego, co nie nasze. Do tego dochodzi mocna aksjologia, skoro redaktorzy tomu zamierzają przed-

stawić „jedno z najistotniejszych zjawisk”. Te superlatywy lub hiperbole okazują się cokolwiek konsekwentne w całej książce. Na dalszych stronach można bowiem przeczytać na przykład o „autokreacji [Konrada] Góry – zadziornego geniusza”. O ile dobrze rozumiem intencję, Kaczmarek i Koronkiewicz piszą to raczej bez ironii, skoro za chwilę czytamy, iż „jeszcze przed debiutem Góra stał się Poetą – zwycięzca turniejów im. Rafała Wojaczka przejął część jego legendy, kreacji, mitu (szczególnie żywego we Wrocławiu)”. Czyżby antologisci nie wiedzieli, że mit Wojaczka żyje również w wariantach kabotyńskich?

W innym komentarzu Koronkiewicz pisze: „Do [Tomasza] Bąka przyznaje się kilka miast: Tomaszów Mazowiecki, gdzie się wychował, Wrocław, gdzie mieszkał i studiował w czasie debiutu, oraz Łódź, gdzie mieszka i studiuje obecnie”. Bez przesady jednak: o Homera spierało się aż siedem miast, więc krytyczka i tak pozostaje skromna. Skromność czy dokładniej przyzwoitość przypisałbym również Dawidowi Mateuszowi, którego Dawid Kujawa nazywa autorem „wreż nieprzyzwoicie sprawnym warsztatowo”. Kira Pietrek zaś, według Kaczmarek, jest „genialną kolaborantką”.

Wykluczenie innych, czyli poprzedników w historii literatury, prowadzi do pracowitego odkrywania kwestii już całkiem niezłe znanych. Tak tedy Kaczmarek zachwyca się Szymonem Domagałą-Jakuciem, podkreślając jego oryginalność w łączeniu kwestii erotycznych, religijnych i (jakżeby inaczej) politycznych. Owszem, Wojacek jest wspomniany, ale istnieje również na przykład *Pieśń nad pieśniami* oraz niektóre piosenki Raya Charlesa. Ten sam krytyk pisze o cudzych językach u Kiry Pietrek, jakby nie słyszał dotąd o Nowej Fali.

Wychodzi chyba na to, że uważne poruszanie się w obszarze historycznoliterackim mogło być dobre dla Barańczaka, ale już nie dla rewolucyjnych krytyków, którzy od razu, na samym początku wstępu, postawili sprawę jasno: „Jeden z podstawowych, jak się zdaje, problemów antologistki [?]: opisywać czy projektować? Czy dany wybór służyć ma przedstawieniu jakiegoś zjawiska (nurtu, problemu, grupy autorów) w sposób możliwie neutralny, zdający tylko sprawę z tego, co już się zdarzyło – czy też **powinien**, przeciwnie, aktywnie włączać się w kształtowanie sceny literackiej, prowokować, proponować przewartościowanie i wytyczać drogę?” (podkreślenie A.P.)

Wprawdzie redaktorzy zaraz się mitygują, że u nich właściwie tak bardziej pośrodku, trochę jednego, trochę drugiego, czytelnik jednak nie ma wątpliwości, bo walce drogowe wręcz śmigają, wytyczając drogę, choć to raczej powolne pojazdy. Prawodawcza pewność antologistów niczym nie jest zmacona. Przekonano także, jak widać, niektórych pomieszczonych w antologii poetów. Koronkiewicz decyduje się więc na krytycznoliteracką gimnastykę, by udowodnić zasadność wybrania do antologii jednego z autorów: „Rozważania o zaangażowaniu Mansztajna – wielokrotnie podawanym w wątpliwość przez niego samego i przez innych poetów – paradoksalnie przywodzą na myśl niektóre wiersze zaangażowanego «modelowo» Tomasza Bąka”. Inny poeta poddany został elokwencji dwojga niewątpliwie zaangażowanych krytyków: „Powiedzmy tak: debiut Dawida Mateusza jest książką skrajnie antykapitalistyczną” – to Maja Staśko. Kujawa zaś twierdzi, iż „na próżno szukać w nowej liryce kreacji podmiotowej, którą autor zanurzyłby równie głęboko w codzienności, jednocześnie pozwalając jej z tego miejsca z niepokojem ciągnąć za nitkę prowadzącą aż do globalnych rynków finansowych”. Nie jest to jeszcze wyśrubowany styl Machejka, starania przecież należy docenić.

Nie brakuje przykładów zaczepnego lekceważenia innych autorów. Ciężki zarzut formułuje zatem Staśko: „Andrzej Sosnowski wydaje swoje książki w Biurze Literackim [a nie w internecie, jak wołałaby krytyczka], bo tak jest najwygodniej, i tylko tak mogą trafić do Empiku – tuż obok kolekcji wesołych gadżetów bądź szczęśliwych gadżecików”. Proszę? Antologia, w której autorka również wzięła udział swoim intencjonalnie krytycznym piórem, została wydana właśnie w Biurze Literackim. Maja Walenrodka? A może biega po empikach i usuwa wszelkie gadżeciarstwo z otoczenia książki?

I właśnie w tekście Staśko z całą jaskrawością widać, jak bardzo twórcy antologii pragną uznania, i to uznania ze strony istniejących hierarchii. Oto bowiem krytyczka wznosi naprędce cały gmach nowej komunikacji literackiej (przeciwstawiony oczywiście tej dotąd dominującej), ponieważ debiut Macieja Taranka nie został nagrodzony Silesusem. Mniej zatem idzie w tym wszystkim o jakości nowe, bardziej o wysokie, eksponowane miejsca w starym systemie. W pierwszym rzędzie dla zaangażowanych krytyków.